TRZYNASTY SCHRON
(ISSN 1899-6396)
trzynasty-schron.net

Autor: **Kamil 'Wrathu' Kwiatkowski**

Tytuł: **Po(s)t(ap)op**

Wojna. Wojna nigdy się nie zmienia. Kiedy atomowy ogień spalił ziemię, ci, którzy przeżyli, zawdzięczali to podziemnym schronom. Gdy się otworzyły, mieszkańcy wyszli na powierzchnię, by zbudować nowe społeczności, wioski, miasta. Z czasem Litewskie Pustkowia zaczęły kwitnąć nowym życiem, jednak demokracji i zasadom starego świata przeszkadzało nowe zło.

Przyszedł nowy rok 2255. Styczeń był mroźny, ale suchy. Zima tęga przykryła Żmudź świętą grubym na łokieć, białym radioaktywnym kożuchem. Czerwone lasy gięły się i łamały pod obfitą okiścią. Nocą, przy księżycu migotały jakoby iskry niknące po stężałej od mrozu powierzchni. Zmutowany zwierz zbliżał się do mieszkań ludzkich, a ubogie szare ptactwo stukało nienaturalnie wydłużonymi dziobami do szyb, szadzią i śnieżnymi kwiatami okrytych.

Pewnego wieczora siedziała panna Aleksandra w izbie czeladnej wraz z innymi dziewczętami ze schronu. Dawny był to zwyczaj Billewiczów, że gdy gości nie było, to z czeladzią spędzali wieczory śpiewając pieśni pobożne i przykładem swym prostactwo budując. Tak też czyniła i panna Aleksandra. Były jednak między nimi i chłopki, mową głównie się różniące.

- Ale urwał! - wrzasnął jeden, widząc, jak za oknem jakiś nieznajomy jegomość zakończył życie po życiu jakiegoś zombie.

- Ale to było dobre! - odpowiedział mu drugi.

- Któż to? - Spytała Aleksandra, gdy ktoś zapukał do drzwi. Otwarła je...

- Jam jest Andrzej Kmicic.

Oczy panny Aleksandry spoczęły błyskawicą na twarzy Kmicica, a potem znów wbiły się w ziemię; przez ten czas jednak zdołała panienka dojrzeć płową jak żyto, mocno podgoloną czuprynę, smagłą cerę, siwe oczy bystro przed się patrzące, ciemny wąs i twarz młodą, orlikowatą, a wesołą i junacką. On się zaś w bok ujął lewą ręką z uciętym rękawem kurtki skórzanej, prawą do wąsa podniósł i tak mówił:

- Jeszczem w Lubiczu nie był, jeno tu ptakiem spieszyłem do nóg panny łowczanki się pokłonić. Prosto z obozu mnie tu wiatr przywiał, daj Boże, szczęśliwy.

- Waćpan wiedziałeś o śmierci nadzorcy schronu?

- Nie wiedziałem, alem go łzami rzewnymi opłakał, dobrodzieja mojego, gdym się o jego zgonie od owych szaraczków dowiedział, którzy z tych stron do mnie przybyli. Szczery to był przyjaciel,

nieledwie brat mego nieboszczyka rodzica. Pewnie waćpannie wiadomo dobrze, że trzeba znaleźć dobre miejsce pochówku, by źli nekromanci nie zrobili z niego zombie?

- Owszem, podjęłam już odpowiednie środki. a zatem waćpan jeszcze swojego Lubicza nie widział...

- Tak.

- Nalać panu mleka?

- Owszem, czemuż by nie.

- Karol, nalej panu mleka.

- Dobrze! - i pobiegł do kuchni po karton mleka, wrócił i wylał Andrzejowi na buty.

- Ale z ciebie nalewator! - skomentował jego kolega.

- Przepraszam najmocniej! - zawstydziła się Aleksandra. - Karol, Kamil, do pokoju!

I słychać było tylko okrzyki "Dobrze!" "Dobrze!" "Dobrze!". Gdy zniknęli, Kmicic objął Oleńkę za ręce i ku ognisku odwrócił, tak nią jak frygą zakręciwszy. Ona zaś zmieszała się jeszcze bardziej i nakrywszy oczy długimi rzęsami stała tak światłem i własną pięknością zawstydzona. Kmicic puścił ją wreszcie i uderzył się po kontuszu.

- Jak mi Bóg miły, rarytet! Dam na sto mszy po moim dobrodzieju, że mi cię zapisał. Kiedy ślub?

- Jeszcze nieprędko, jeszczem nie waćpana - odrzekła Oleńka.

- Ale będziesz, choćbym ten dom miał podpalić! Na Boga! Myślałem, że konterfekt pochlebiony, ale to, widzę, malarz wysoko mierzył, a chybił. Sto bizunów takiemu i piece mu malować, nie one specjały, którymi oczy pasę. Miłoż to taki legat dostać, niech mnie kule biją!

Czy to był komentarz do rzeczywistości za oknem i rzeszy zombie z kulami, czy też nie, tego się nie dowiemy.

- Dobrze nieboszczyk Nadzorca mi powiadał, żeś waćpan gorączka.

- Nom. Tacy u nas wszyscy w Smoleńskiem, nie jak wasi Żmudzini. Raz, dwa! i musi być, jak chcemy, a nie, to śmierć!

Oleńka uśmiechnęła się i rzekła już pewniejszym głosem podnosząc na kawalera oczy:

- Ej! To chyba zombie! - przeraziła się, gdyż za oknem zobaczyła niebezpiecznie blisko jakiegoś żywego trupa.

- Nie bój się, waćpanna! Mam tu, prosz państwa, kija! Golfowego! Dziewięć i pół, iron!

Wybiegł z domu i zdziwił się - Hej, a szto za lude?

- Czekać komendy! - rzekł z cicha nieznajomy. - Nie strzelać przed rozkazem!

Zombie był tuż przed nimi, nacierał, wtem...! stracił głowę. Mężczyzna trzymał długi na jakieś siedemdziesiąt centymetrów miecz, lekko wygięty do góry - katanę. Był niewysoki, w oczy rzucał się też zadrapany pancerz wspomagany. Głowa upadła na ziemię, a mężczyzna zawołał:

- Stój tam! Ktoś ty?

- Chorąży orszański, Kmicic! - brzmiała odpowiedź - a z kim mówi?

- Pułkownik Michał Jerzy Wołodyjowski.

- Czołem!

- Nie czas na powitania... czego waść chcesz?

- Mnie by słuszniej zapytać: czego waść chcesz? Nie znasz mnie, ja ciebie... czemu mnie napadasz?

- Zdrajco! - zakrzyknął pan Michał. - Ze mną są ludzie z Bractwa Stali... Mają z tobą obrachunki za rozbój i za krew niewinnie przelaną i za tę pannę, którąś teraz porwał!

- Ej, jeszcze jej nie porwałem... To znaczy... nie nazwałbyś mnie drugi raz zdrajcą, gdyż mam ten oto KIJ! - improwizował, to było widać! Ale czy słusznie?

- Postępujesz waść bardzo nierozważnie. - podniósł Michał rękę i wskazał na oddział rycerzy Bractwa uzbrojonych w działka obrotowe i pancerze wspomagane. - Widzisz?

- Teraz widzę... Zostańmy przyjaciółmi!

A zatem uczta! Oleńka zapuściła z głośników 800V jakieś dobre elektro i poszła w tany z panami w pancerzach. Tymczasem Michał, Andrzej i trzeci pan ucięli sobie przyjacielską pogawędkę przy Nuka-koli, bo browara zabrakło.

- Jak pan się zwie?

- Zagłoba. - odpowiedział.

- a więc co panów tu sprowadziło? - zapytał Kmicic.

- Otóż do Żmudzi i schronu zbliża się armia zombie...

- O, Boże... Skąd oni?

- z zachodu, jak mniemam. Albo wschodu. Nie znam kierunków. Tak czy inaczej... musimy porozmawiać z Nadzorcą.

- Nadzorca... on... nie żyje...

- Jak to?!

- i co teraz? - przeląkł się pan Wołodyjowski.

- Co takiego chcieliście mu przekazać? Może będę wiedział, co zrobić z tą informacją... - zaproponował Kmicic.

- Waszmość i tak już sporo namieszał i waszmość wie dobrze, co waszmość zrobił tam, gdzie zrobił, tak.

- Nom.

- z drugiej strony, może ktoś inny zna hasło... jego córka może!

- Oleńko! - Zawołał Kmicic. - Gdzie jest twoja matuchna?

- w schronie! - odpowiedziała, będąc okręcaną przez jednego z jegomościów w zbroi.

- Potrzebujemy jej, musimy wybrać się do schronu!

- Dobrze!

Słysząc to słowo, z góry zbiegli chłopcy, Karol i Kamil. - DOBRZE! - wykrzyczeli wesoło.

- Chodźcie. - zachęciła Billewiczówna i otworzyła drzwi do piwnicy. - To tam. - a tam wrota schronu. Otwarte.

- Jest otwarty? - zapytał jeden z mężczyzn.

- Powinien być zamknięty... ale widzę, że jest otwarty.

Przeszli przez nie i nacisnęli przycisk windy. Po kilkunastu sekundach winda się pojawiła i wszyscy jakoś się pomieścili, po czym zjechali na drugie piętro.

- Spytamy o hasło, zjedziemy na ostatnie piętro i wstukamy je w panelu Nadzorcy. Podobno czekać tam będzie ratunek dla wszystkich, tylko nikt nie wie, jak on będzie wyglądać... - tłumaczył plan pan Michał.

Ale tam! Trzy zombie ganiały mieszkańców, kilku zostało złapanych i w okrutny sposób zdekapitowanych. Oleńka zasłoniła oczy z przerażenia, Kmicic i Wołodyjowski wybiegli dzielnie, ten kijem, ten mieczem, zaczęli atakować bezmózgie stwory. a teraz ujęcie na Zagłobę, który korzystając ze wspomaganego systemu celowania V.A.T.S. wypuścił grad pocisków ze swojego miniguna w trzeciego zombie, a ten, utraciwszy spory fragment ciała i nogi, nie był już zdolny chodzić. Tymczasem panowie K i w celowali swoim przeciwnikom w głowy, gdyż stary przesąd mówił, że by powstrzymać zombie, trzeba mu strzelać w głowę.

- Dobrze! - wołały dzieci. Kmicic zaś zauważył jakiegoś mężczyznę w kombinezonie schronu i podbiegł do niego.

- Gdzie pani Billewiczowa?

- Zombie ją ugryzł! Ojciec Mateusz i siostra Zosia opiekują się nią w zamkniętym pomieszczeniu, o, tam! - wskazał na drzwi.

- Dziękuję waści. - i pospieszył, co sił w nogach do owego pomieszczenia!

- Olu! Olu! - wołała matka. Na jej ręce widać było bolesne ugryzienie, ona sama zaś zalewała się potem z gorączki.

- Tu jestem, mamo! - zawołała córka. - Jak się czujesz?

- Och, bardzo źle, zaiste, bardzo źle... Alić nadszedł czas, by się pożegnać!

- Nie mów tak! Proszę, nie!

- Pani Billewicz, musi pani przekazać nam hasło do panelu Nadzorcy...

- Tak... - westchnęła. - Hasło to: B3TH5UX.

- a nazwa użytkownika?

- Uch, tego nie wiem...

- Szybko, panowie, musimy spieszyć na dół! Niech trzech tu zostanie i pilnuje ocalałych!

- Oleńko... - zbliżył się i pocałował ją. Och, jakie to było wzruszające.

- Andrzej! - zawołał Michał.

- Muszę iść...

- Obiecaj, że wrócisz... - Oleńka biedna się zapłakała.

- Owszem. - On też się zapłakał.

- Obiecaj.

- Obiecuję.

I w ten oto sposób zakochana para pożegnała się. Kmicic, Wołodyjowski, Zagłoba i czwarty bezimienny rycerz Bractwa zjechali windą na trzecie, najniższe piętro.

Trzecie piętro. Tu znajduje się panel Nadzorcy. Drzwi powoli się otwierały... i zombie! i jeden! i drugi! Bez problemu sobie nasi łorjorzy poradzili z nimi. Pobiegli prędko korytarzem w stronę, w jaką wskazywały kierunkowskazy tablicowe. Kolejne zombie! Jeden! Ciach! Drugi! Bum! Trzeci! Tyryryryry!

- Ile masz amunicji, Zagłoba? - spytał Michał.

- Starczy mi, jeszcze z pięć magazynków będzie, a Tragarz ma ze dwadzieścia pewnie w plecaku.

Tragarz był tym czwartym. Na plecach miał rzeczywiście plecak wypchany różnymi rzeczami. Amunicją, wszystkim, czego można w danej chwili potrzebować albo i nie potrzebować. Sam jako broni używał pistoletu laserowego, gdyż był lekki, poręczny, szybki i zabójczo skuteczny. Sam Tragarz wyglądał bardzo... zwykle. Łysy był, brodę ogoloną miał, oczy ledwo widoczne, uszy odstające. Miał ze sto kilogramów na plecach, jak nie więcej.

- Ciekawe, ile tam masz kilogramów.

- Sto.

- Nie ma lipy.

Już widać panel Nadzorcy! a tam ze dwadzieścia zombiaków i jeden... w pancerzu wspomaganym i z miotaczem ognia!

- NAPARZAĆ! - okrzyk dało się słyszeć. Nie ważne, kto go wykonał, bo pistolet Tragarza i działko Zagłoby wstępnie wykosiły sporą część żywych trupów, a jak któryś podbiegł, to zostawał zdekapitowany przez Wołodyjowskiego albo Kmicica. Jednak nadbiegła kolejna fala zombie. Tragarz spokojnie wyjął z plecaka załadowaną wyrzutnię rakiet.

- w tej wyrzutni płynie rakjet fjuel a nie jakieś tam dziadostwo! - i strzelił. Został tylko boss.

"Och, nie! To Zagłoba! Legendarny paladyn Bractwa, który wykosił samego Króla Lisza!" - tak by pomyślał zombie w pancerzu. Pomyślałby, gdyby nie miał papki zamiast mózgu. Zamiast tego

powiedział:

- MÓÓÓÓZGIIII....

- Asta la wista, bejbe. - pożegnał go Zagłoba i wystrzelał w niego cały magazynek, lecąc od dołu do góry, celnie bardzo (dzięki systemowi V.A.T.S.). Głowa odleciała daleko w tył, obijając się o ścianę.

- Dobra! Teraz szybko! Jakie było hasło? - Zapytał Kmicic.

- Ee... - zastanowił się pan Michał. - To było coś z SUX, nie?

- Beti?

- Coś takiego...

- Ale to był w leet speeku...

- Cholera.

- B3TH5UX - odezwał się... Tragarz! Wreszcie na coś się przydał!

- Dzięki, nie zapomnij nagle czasem. - podszedł Wołodyjowski do panelu i sprawdził ostatnio logujących się użytkowników. - Jak myślicie, to będzie PR0HaXX0R666 czy może Asdfg1650?

- Chyba to pierwsze.

- Też tak myślę. - Kliknął. - Dyktuj hasło, Tragarz.

- B... 3... T... H.. 5... U... k... S...

- To było przez X a nie KS

- To po co mam ci dyktować, jak sam wiesz?

- Może lubi - skomentował Kmicic.

Po wpisaniu hasła ukazało się okno, które niektórym mogło przypominać jakiś mroczny wymiar ponad czasem i przestrzenią, na przykład Kmicicowi, bo on nigdy komputera nie widział. Pan Michał jednak w informatyce był obyty i udało mu się dotrzeć do opcji, która wydawała mu się poprawna.

- "Autodestrukcja"? Brzmi mądrze.

- Nie, lepiej weź "włączenie zraszaczy", to pewnie takie podchwytliwe.

- Proponuję "Program antyzombie" - wtrącił Tragarz.

- Ty się nie znasz.

Ale ten faktycznie to nacisnął, odepchnąwszy wcześniej Michała.

- Co ty robisz, debilu, miałem tu szczepionkę!

Nagle zaczęło być słychać alarm.

- UCIEKAMY, LOOOL!

I wszyscy zaczęli biegać w kółko bezradnie, jeden Tragarz tylko stał spokojnie, wiedząc, że potrwa to tylko chwilę, więc spokojnie czekał, aż pokażą się na ekranie wyniki tego przedsięwzięcia.

Wtedy otworzyła się ukryta szuflada! a tam... kartka. a na niej: "TRZEBA IM STRZELAĆ w GŁOWY"

Po masowym facepalmie wszyscy udali się do góry, lekarzom udało się odratować panią Billewiczową. Okazało się, że jest odporna na wirusa przenoszonego przez zombie i w jej krwi jest antidotum na tę chorobę. Przywróciło to wszystkim nadzieję.

Następnego dnia przed domem postawiono drewnianą budkę. Napisano czarną farbą, dosłownie: "MUZGI".

- Weź, nie umiesz pisać. Wszyscy wiedzą, że to się pisze przez "S". - skomentował Michała Andrzej.

- Nie znasz się. Pewnie zamiast odebrać, to myślałeś, że smsa dostałeś i otworzyłeś klapkę.

- Nie... Skąd wiedziałeś?

- Strzelałem.

- Nikt nie mógł się o tym dowiedzieć!

Kmicic stał blady, z obłakanymi oczyma, chwiejący się, przez chwilę zdawało się, że rzuci się na Michała z gołymi rękoma... ale wziął kija. Już, już był gotów do skoku, już pan Wołodyjowski, przysunąwszy rękojeść do piersi, nadstawił ostrze, ale pan Kmicic rzucił się na szablę i wpadł z nią znów na straszliwego przeciwnika. Szmery głośne zaczęły się zrywać gdzieś z domu, bo zauważyli, że ci walczą w ogóle. Mimowolne okrzyki wyrywały się z ust widzów, czasem rozlegał się wybuch niepohamowanego nerwowego śmiechu, poznali wszyscy mistrza nad mistrzami. Ten zaś bawił się okrutnie, jak kot z myszą i pozornie coraz niedbalej robił kataną. Lewą rękę wysunął zza pleców i wsunął w kieszeń hajdawerów. Kmicic pienił się, rzęził, na koniec chrapliwe słowa wyszły mu z gardzieli przez zaciśnięte usta:

- Kończ... waść!... wstydu... oszczędź!...

- DOBRZE! - rzekł Wołodyjowski.

- DOBRZE! - podchwycili chłopcy.

- DOBRZE! - rzekli wszyscy.

- Nie! Niedobrze! - krzyknęła Billewiczówna i wbiegła do schronu i go zamknęła od środka.

- Ej! Czekaj! - zawołał i pobiegł za nią Kmicic.

- Jedno jest pewne. Pojęcie drapacz chmur będzie tu, hmm... niewłaściwe. Może nieco bardziej trafne będzie określenie... drapacz jądra? - rozważania snuł o schronie pewien pan, którego zwali Duży Łyk.

Tymczasem do budki rozdającej niby mózgi podszedł jakiś zombie.

- Móóóózgiii...

- Proszę. - podał Wołodyjowski zombiemu kawałek mózgu, tak naprawdę był to kawałek mózgu

zombie, do którego wstrzyknięto antyciała Oleńki!

Zombie zakaszlał, przewrócił się, nagle skóra jego zaczęła jaśnieć, a on uspokoił się i położył na ziemi.

- Ja żyję!

- Udało się! DOBRZE! - krzyknął z radości Wołodyjowski. Wyjął krótkofalówkę i zawołał wszystkich.

Wszyscy przyszli i gratulowali sobie dobrego rozwiązania. Radości miało nie być końca. Każdy zombie miał być potraktowany antidotum i wszystko miało się dobrze skończyć.

Nagle ktoś spostrzegł na niebie jakiś błysk.

- O, spadająca gwiazda. Aby było dobrze!

Ale tak naprawdę to była bomba. Zrównała dom z ziemią i wszystko zostało zniszczone, łącznie z antidotum. Atomowy grzyb unosił się przez długie godziny nad powierzchnią ziemi.

Niech, gdy cięższe czasy nadejdą, wspomną na nas i nie desperują nigdy, bacząc na to, że nie masz takowych terminów, z których by się viribus unitis przy boskich auxiliach podnieść nie można.

Weź, pewnie sam nie wiesz, co to znaczy.

No, niestety. Lecz taka właśnie była ta historia. a taka jest puenta: czasem idzie źle, ale miejmy nadzieję, że będzie dobrze.

KONIEC